

Kronika tygodniowa.

Omawiając w poprzedniej kronice dyskusję, prze-ważnie aprowizacyjną, jaką przeprowadzono na ostatniem posiedzeniu krakowskiej Rady miejskiej, gorące wspomnienie *ex re* zapowiedzianego utworzenia i u nas Urzędu ochrony lokatorów, poświęciłem kamienicznikom, tym razem jednak nie krakowskim, ale lubelskim, którzy stanowczo zdystansowali swych krakowskich kolegów i to więcej nawet, niż o długość zwykłego końskiego ogona.

Niestety, pan metrapaź, który albo sam jest kamienicznikiem, albo też przygotowuje się dopiero do wstąpienia w ich grono, uznał widocznie wzmiankę ową za niecenzuralną i wspaniałomyślnie zwrócił mi zakończenie kroniki, tłumacząc się, że „brakło miejsca!“ a on na to nic nie poradzi.

Zwykła wymówka, wobec której kronikarz jest bezsilny. Ale mam i na niego sposób, dotąd wprawdzie nie opatentowany, ale przecież niezawodny. Co nie zmieściło się w poprzednim tygodniu „w ogonku“, pcham w następnym na sam początek, a na to teraz i pau metrapaź nic nie poradzi!

Może zresztą stało się i lepiej, bo nie wypada nawet, aby tak poważna kasta ludzi (choć już raz należałoby się wyzbyć wszelkiej kastowości!) wystawała gdzieś wtyle, bodaj w „kronikarskim ogonku“, skoro innego nie zna, gdy jej się należy miejsce na samym przodzie.

Otóż, wyczytałem niedawno w jednym z pism politycznych, iż w Lublinie odbył się wiec, domagający się ochrony lokatorów i inicjatywy Rady miejskiej w tym względzie.

O samowoli tamtejszych panów kamieniczników świadczy aż nadto dosadnie fakt, omawiany w jednym z punktów odnośnej rezolucji. Powiedziano tam ni mniej ni więcej, tylko: „Nie może być stosowaniem, jako przysmus względem lokatorów, wstrzymywanie wydawania kart żywnościowych przez gospodarzy i *zamykanie szjbrów w kominach*“.

Podnosiłem zawsze, iż właściciele realności na całym świecie podobni są do siebie, jak dwie krople wody, ale dla rehabilitacji naszych muszę dodać, iż tak daleko jeszcze nie zaszli! Nie jest jednak wykluczonem, że pragnęliby może wejść w ślady swych kolegów, nawet zawrzeć z nimi w tym kierunku nową „unię lubelską“, gdyż przypominam sobie z swych lat kawalerskich wypadki, jak to kamienicznik, chcąc biednego akademika zmusić do zapłacenia zaległego czynszu lub wyprowadzenia się gdzieindziej, zabierał mu drzwi lub okno. Narażał go przez to tylko na zaziębienie się, gdy tymczasem jego lubelscy koledzy chcą takiego biedaka żywcem uwędzić. O wiele sympatyczniejszym typem był osobnik, który lokatorowi dawał jeszcze fundusz na przeprowadzkę i wskazywał mu nawet realność, dokąd ma przenieść swe Lary i Penaty. W ten sposób pozbywał się kłopotu i wywierał nadto zemstę na koledze, który kiedyś włożył mu za skórę, dajmy na to przy wyborach do Rady miejskiej. Ale stwierdzam to z boleścią, takich kamieniczników i wówczas było mało, można ich było na palcach jednej ręki policzyć.

Dziś, mając za sobą Urząd ochrony lokatorów, możemy spać spokojnie, o ile kto *nota bene* czynsz płaci, nie potrzebujemy się bowiem obawiać ciągłego podnoszenia czynszów, ze względu na „ciężkie czasy“ i samowolnego wypowiedzania najmu lokalu, którego pan gospodarz „potrzebuje dla kuzynki, przybywającej z „rowincyi“, lub dla wujaszka, wracającego z Ameryki“.

Oby jednak ten urząd funkcjonował jak się patrzy, a nie pozostał tylko na papierze, jak na przykład ów Trybunał rozjemczy, który miał rozsądzać sprawy pomiędzy mistrzami sławetnego kunsztu szewskiego, a śmiertelnikami, nie chcącymi chodzić boso. Jak dotąd, nie o nim nie słyhać, nie doszło także do mej wiadomości, by obuwie miało potanieć. Świętej pamięci ksiądz proboszcz Kneipp radził wprawdzie swym pacjentom, by chodzili boso, ale tylko po trawie, a dziś dla ciężkiej niewolno, gdyż przeznaczoną jest na paszę dla czworonogów, w każdym razie jest to mniejsza przyjemność i nieodpowiadająca bynajmniej godności zrównoważonego politycznie obywatela Wielkiego Krakowa. Szewcy nie tracą dobrej miny, iż krzywdą się im nie stanie i że i nadal w gotówce odbijają sobie będą to rzekome poniżenie, jakiego im świat nie szczędzi, a o czem „stało nawet w Kurjerku z ubiegłego tygodnia“.

Z autorem owego fejletonu zgadzam się o tyle, o czem zresztą sam już nieraz na tem miejscu pisałem, iż urzędnik to dziad, a szewc, piekarz, krawiec, rzemieślnik i t. d., to magnat, ale nie widzę znów powodu, by właśnie ów „dziad“ miał być skazany na łaskę i niełaskę magnata. Od tego, by go chronić od tej

nieprzyjemności, są właśnie owe Urzędy ochrony i Trybunały rozjemcze i utworzeniu ich przyklasnąć się musi z całego serca, boć i kronikarz żyje tylko ze swej pensyjki, która, choć lato za pasem i ciepło coraz większe, wbrew zasadom fizyki, nie chce się jakoś w żaden sposób „rozszerzyć“.

A że jest ciepło, tego mi nikt chyba nie zaprzeczy. Nawet tak zwani *Eismänner*, święci Pankracy, Serwacy i Bonifacy, sprzeniewierzili się w tym roku meteorologicznej tradycji i nie zesłali nam zimna, być może z tej tylko przyczyny, iż zapasy jego już zupełnie wyczerpane. Podobno za inicjatywą św. Piotra, którego dochodziły ze ziemi ciągle skargi na panujące zimno, założono w niebieskich odpowiednią Centralę i zaraz pokazało się, że zimno dało nura i trudno się go doszukać. Ponieważ zaś, według opowieści ludowej, od dnia piętnastego maja, na który przypadają imieniny świętej Zofii i trzech jej córek i noce są już ciepłe (co zresztą sam stwierdziłem!), można z pewną otuchą spoglądać w najbliższą przyszłość, choćby nawet brakło nam węgla. Powie kto może, że węgle potrzebne są przecież i do kuchni, ja mu na to odpowiem, iż tylko do gotowania, a gotuje się wtedy, gdy się ma co gotować. My zaś jesteśmy chwilowo w tem miłym położeniu, że nie potrzebujemy się o to troszczyć, choć czeigodna Weronisia zdobyła kiedyś cały kilogram pęczaku, a ziemniaki, zasadzone w doniczkach kwiatowych już kielkują i rokuja plon obfity.

Wyłania się przecież nowy sęk, bo dola nasza ogromnie jest teraz sękata. Dajmy na to, że będą ziemniaki, będzie i mąka rumuńska, a nawet pęczak, znajdują się i węgle, by można rozpalic ognisko domowe, aby naszym Westalkom się nie przykrzyło, jak tu jednak gotować, gdy masło i wszelkie tłuszcze zostają scentralizowane?... Wiadomo zaś, co znaczy utworzenie Centrali odnośnej i nie też dziwnego, że nasze gospoście już dziś mówią długo i szeroko o nowych ogonkach „maślanych“. Były wprawdzie i dotąd, ale teraz przybiorą niezawodnie na rozmiarach.

Kłopotów więc nikomu, kto ich tylko chce szukać, nie zabraknie. Do nich zaliczyć muszę i tak zwany „próbny bieg pięćdziesięciolatek“, to jest nowy przegląd, albo popłarnie „musterunek“, obowiązanych do służby w pospolitem ruszeniu, a liczących od czterdziestu pięciu do pięćdziesięciu wiosen żywota. Sam fakt nikogo bynajmniej nie przeraża, natomiast obawę wzbudza rozszerzana już dzisiaj wieść, iż każdemu, kto się i teraz okaże niezdatnym do służby wojskowej, wybije się na odwrotnej stronie pieczęć, iż uwolnionym zostaje od dalszych przeglądów. I tego właśnie ludziska się boją, nie wiedząc, gdzie owa pieczęć ma być wyśniętą i czy na zimno, czy też może na gorąco. Ja jestem zdania, że „wybijają“ ją na karcie legitymacyjnej pospolitego ruszenia, a zapatrywania moje podziela bardzo wielu, choć nie brak i takich, którzy jakoś powątpiewają kiwają głowami i z niepokojem skrobią się... za uchem.

A *propos* musterunków, czyli przeglądów, zauważyć muszę, iż dziwi mnie jedno. Jak dotąd, sufrażystki nasze i emancypantki, które zawsze żądały pełnego równouprawnienia z mężczyznami, jeszcze ani razu nie narzekały, iż o nich zapomniano i nie wzywa się ich do świadczeń wojennych, gdy tymczasem ich amerykańskie koleżanki są zupełnie innego zdania i, nie czekając na urzędowe wezwanie, zgłaszają się same.

Z telegramów pism nowojorskich (*via* prasa neutralna) dowiadujemy się, że około dwieście tysięcy kobiet z różnych sfer społecznych Stanów Zjednoczonych ofiarowało się wyruszyć do Francji pod komendą Roosevelta. Na wykształcenie i wyekwipowanie tej ekspedycji złożono już kilka milionów dolarów. Roosevelt zdecydował się objąć dowództwo, ale pod warunkiem, jeśli korpus obejmie przynajmniej sześć brygad. Nasuwają się tutaj dwa pytania. Pierwsze, co zamysłają czynić Amerykanki w Europie, walczyć, czy też pielegnować chorych i pocieszać upadłych na duchu, drugie zaś, czy pan komendant, choć znany z odwagi i energii, da sobie z nimi radę. Co do tego drugiego punktu, to bardzo wątpię, wiem bowiem, że z jedną kobietą i to do tego rodzoną swoją żoną trudno sobie nieraz poradzić, a cóż dopiero z ćwierćmilionem o rozmaitszych temperamentach. Winszuję w każdym razie panu Rooseveltowi awansu, ale bynajmniej mu nie zazdroszczę!

W każdym razie biada ci, Europo! Masz już dość kłopotu z własnymi babami, będziesz mieć jeszcze więcej, gdy import tak się wzmoże. Podziwiam także odwagę niewiast amerykańskich, nie okazujących obawy przed niemieckimi łodziami podwodnymi. Chyba, że rachują na galanterię marynarzy niemieckich, którzy może będą oszczędzać okręty z damską załogą. Ale wojna wyklucza zwykle i galanterię, więc cała ta historia może się skończyć bardzo mokro.

Niechajby się zresztą kończyła, jak się jej żywnie podoba, byle przyspieszyła koniec wojny. Zapowiedziany znowu przez pewnego krakowskiego polityka na dzień

síódmego lipca i to wyrażnie: „w tym jeszcze roku“. Nie dodał przecież, według nowego, czy starego stylu, a trzeba pamiętać, że tu przecież wchodzi w grę i Rosya, gdzie dotąd obowiązuje kalendarz juliański.

Spodziewałem się, jak wielu zresztą innych polityków i niepolityków, iż coś pozytywnego powie nam pan Bethmanu Hollweg i miałem nawet zamiar wybrać się w tym celu do Berlina, musiałem przecież z rozmaitych powodów zrezygnować z zamiaru. Stało się może i dobrze, gdyż byłbym wrócił z kwitkiem. Jak zapewniają pisma polityczne berlińskie, mowa ta nie zaznacza żadnej istotnej zmiany w wewnętrznym położeniu narodu niemieckiego i nie sprowadza ani żadnej ulgi, ani odświeżenia atmosfery. Wszystko pozostaje w dawnym napięciu elektrycznym, zdenerwowanie nie zmniejsza się, lecz przeciwnie, przybiera na sile.

Podobne zapatrywania wyraża i prasa wiedeńska, która twierdzi, że po ostatniej mowie kanclerza nie wiemy o pozytywnych celach niemieckiej polityki wojennej nic więcej ponad to, cośmy już z dawniejszych jego mów poznali. Kanclerz nie wyszedł poza negatywne określenie celów z tym jednym wyjątkiem, że Niemcy nie postawią Rosji zbyt wygórowanych żądań, jeżeli ona zechce wejść w przyjazne stosunki z Rzeszą. Jasne w przemówieniu kanclerza jest tylko pociągnięcie różnicy między zachodnimi a wschodnimi nieprzyjaciółmi Niemiec.

Z drugiej znów strony trudno wymagać od kierownika polityki niemieckiej zbytnej gadatliwości, która mogłaby tylko zaszkodzić sprawie. Zadowoliliby jednych, z pewnością zaś rozgoryczyliby drugich, a to nie mogłoby mieć bynajmniej dobrych następstw.

Zwolennicy pokoju, i to jak najrychlejszego, nie są więc z mowy Bethmanna Hollwega zadowoleni i bardziej im do serca przemawia artykuł *Kurjera* z piątku ubiegłego tygodnia, zatytułowany: „Zawieszenie broni dla omówienia pokoju! Warunki socjalnej demokracji Rosji o pertraktacjach pokojowych mocarstw centralnych“. Jest to artykuł, powtórzony za rosyjską *Raboczaja Gazeta*, pióra p. Dalina, proponujący zwołanie konferencji pokojowej mocarstw walczących, ale na dość fantastycznych zasadach, które mogłyby wprowadzić jeszcze więcej galimatjasu, zamiast tak upragnionej równowagi politycznej.

Aby to przecież wszystko dokładnie zrozumieć, trzeba być politykiem z krwi i kości, takim, który pisuje artykuły wstępne, a nie kroniki tygodniowe, nie chcą więc mieszać się w nieswoje sprawy i polityce dają znów spokój, pozostawiając ją sobie na lepsze, powojenne czasy, gdy nie będzie tak skomplikowaną i, wobec tego, dostępniejszą dla niefachowców.

Zresztą teraz zaczyna się sezon polowania na kaczki dziennikarskie i bardzo łatwo przydarzyłyby się mogło, iż ustrzeliliby, choćby wbrew mej woli, takiego sympatycznego ptaszka, za co ściągłabym znów na swą niewinną głowę gromy ze strony P. T. Czytelników.

A jest o czem pisać, choćby nie ruszając polityki na większą skalę, ale tylko taką, jaką nazwijmy ją, domową. Warto wspomnieć o przesileniu w Kole Polskim i odmówieniu Rządowi zaufania i poparcia, rezygnacji prezesa Bilińskiego i kandydatów na jego miejsce, o Ukraińcach, stojących nam ustawicznie okoniem, choć nie wiedzących, czego chcą właściwie: kraju koronnego, Ukrainy, czy też ukraińskiej Rzeczypospolitej, o sprawach warszawskich, każdego z nas serdecznie obchodzących, ale, jak każdy z P. T. Czytelników widzi, brak na to miejsca, wobec czego wszystkie te sprawy razem i każdą z osobna odłożyć należy na później. Tak, jak wyjaśniło się niebo, wyjaśni się zapewne i horyzont polityczny i o wszystkim tem będzie można pomówić *sine ira et studio*!...

Na zakończenie, aby nie ruszać już polityki, wracam do aprowizacji. Jak wiadomo, najpokaźniej przedstawiają się u nas obecnie ogonki, tak zwane „ziemniaczane“. Widzieć je można na wszystkich placach, gdzie są stanowiska ich sprzedaży. Na placu Szczepańskim znajduje się nawet „kiosk ziemniaczany“, właściwie zaś zwykła budka, w której się sprzedaje ten tak dziś drogocenny artykuł spożywczy. Onegdaj grono czekających na swą kolej chłopców, gdy o dwunastej zamknięto ze znaną punktualnością lokal sprzedaży, a funkcjonariusze miejsca poszli do domu, rozbiło drzwi i podzieliło się po bratersku, resztą ziemniaków, jeden zaś z nich „zarekwirował“ przy tej sposobności parę zostawionych tam butów i zapewne... „oduiósł“ je do domu... Nie dziwię się temu, chodząc za ziemniakami, zdarł swoje buty, chciał więc mieć bodaj jakąś rekompensatę...

(Pracę płuc) ułatwiają masażę piersi i pleców zapomocą Fellera dobroczynnie działającego, ożywiającego fluidu z esencji roślin z marką „Elza-fluid“. Ceny pokojowe: 12 flaszek franko kosztuje tylko 6 koron. Aptekarz E. V. Feller, Stubica, plac Elzy Nr. 127 (Kroacya). Powinien zawsze być w domu. Przeszło 100.000 listów dziękczynnych go zaleca.